



SŁAWOMIR GRÜNBERG

– reżyser, operator,
scenarzysta i producent

ODMŁODZIĆ KARSKIEGO

Mam w dorobku filmy, które dosłownie zmieniły świat

Rozmawia Sławomir Kwiecień

Pana film „Karski i władcy ludzkości” żyje od pewnego czasu w obiegu kinowym i działa na widzów niczym zimny prysznic, wybija z poczucia komfortu psychicznego. Uczestniczy pan w pokazach specjalnych, debatach, np. w Synagodze Wysokiej w Krakowie czy w Ośrodku „Pogranicze” w Sejnach. Jak pan patrzy na ten swój obraz i jakie głosy słyszy?

– Mam satysfakcję, bo mimo wielu problemów – prace nad filmem trwały siedem lat – spełniło się to, co sobie wymyśliłem i w jaki sposób to opowiedziałem. Może nie będzie to popularne, ale powiem, że jestem widzem emocjonalnym, wzruszam się, gdy po raz kolejny oglądam niektóre sceny, co nie

znaczy, że nie dostrzegam kwestii technicznych. Zastanawiam się, czy w niektórych sekwencjach cisza nie mogła być o pół sekundy dłuższa. Bardzo lubię oglądać filmy z publicznością i obserwować jej reakcje. Otrzymuję mejle i zaproszenia na pokazy filmu z całej Polski. Większość zapraszających myśli, że tu mieszkam. W miarę możliwości, a ostatnio dzięki częstszym przyjazdom do Polski, staram się odwiedzać różne miejsca.

Z jakimi reakcjami pan się spotkał?

– Po pokazach w Krakowie i Sejnach uczestniczyłem w dyskusji, gdzie usłyszałem głosy obawy, które film na szczęście rozwiął, czy nie będzie to monument postawiony Karskiemu, a on sam wyidealizowany na postać z czytanki. Udało nam się uchwycić Karskiego jako pełnowymiarowego bohatera, z bagażem zalet i wad. Po-

pełniał błędy, bo kto ich nie popełnia, nie wyłączając postaci bohaterkich i szlachetnych, jaką niewątpliwie był. Był smutny i rozgoryczony, ale bywał też wesoły. Istotną wagę mają te elementy filmu, a nawet stały się one pewnym wyzwaniem, gdzie mowa jest o antysemityzmie, który uznaje za problem i krytykuje go w swoim pierw-

Kiedy chciałem być Polakiem, i tak widziano we mnie Żyda.

szym raporcie, albo gdzie nawiązuje do swojego zachowania na uniwersytecie we Lwowie, kiedy nie stanął w obronie bitych Żydów. Wszystko to tworzy z niego pełną postać.

Czas, który poświęcił pan Karskiemu, i to, czego się o nim dowiedział, sprawiły, że pan go polubił.

– Stał mi się bardzo bliski. Jeśli teraz myślę o Karskim, to nie podoba mi się koncepcja pokazywania go jako starego człowieka. Na tych ławeczkach, które go upamiętniają i stoją w Kielcach, Łodzi i Warszawie, ale także przed polskim konsulem w Nowym Jorku, na Uniwersytecie Georgetown w Waszyngtonie czy na uniwersytecie w Tel Awiwie,

SŁAWOMIR GRÜNBERG – absolwent łódzkiej Filmówki, autor ponad 45 filmów. Laureat Nagrody Jana Karskiego i nagrody Emmy za film „School Prayer. A Community at War” oraz stypendiów Soros Justice Media i Fundacji Guggenheima. Dwa filmy z jego zdjęciami zdobyły nominacje do Oscara. W kwietniu 2015 r. do polskich kin wszedł film „Karski i władcy ludzkości”. Od 1981 r. Grünberg mieszka w USA.

Karski jest stary i smutny, bo myśli, że mu się nie udało, co nie do końca okazało się prawdą. Gdy wybuchła wojna, miał 25 lat, a gdy rozmawiał z Rooseveltem – niespełna 30 lat. Koło ławeczki przy Muzeum Historii Żydów Polskich przechodzi bardzo dużo ludzi, zatrzymują się wycieczki, nauczyciele opowiadają uczniom o nim i niewiele mówi, że był wtedy młodym człowiekiem. A gdyby go takim zobaczyli, łatwiej byłoby im się z nim utożsamiać.

Dużym przeżyciem był dla mnie pokaz w Jerozolimie z okazji 25-lecia odnowienia stosunków polsko-izraelskich. Odbył się w prestiżowym Centrum Begina. Polskiej delegacji przewodniczył szef MSZ Grzegorz Schetyna, a obok władz Izraela obecny był także Ronald Lauder, przewodniczący Światowego Kongresu Żydów. Wielu tam obecnych dziwiło się, że ktoś taki jak Jan Karski w ogóle istniał. Z kolei myśląc o udziale w rywalizacji oscarowej, powinniśmy zorganizować przynajmniej siedem dni pokazów filmowych w Nowym Jorku i Los Angeles, bo taki jest wymóg akademii.

Jednak pana film, choć rzetelnie traktuje źródła, nie wszystkim w Ameryce się spodoba. Oskarża on ówczesny establishment, a w jakimś sensie również jego spadkobierców, o obojętność, zaniechanie, a zatem o współodpowiedzialność za Holocaust. Dokumentalista Siergiej Łożnica przygotowywał fabułę o zbrodni w kijowskim Babim Jarze, gdzie we wrześniu i październiku 1941 r. przy współudziale Ukraińców zginęło z rąk Niemców ponad 30 tys. ludzi, w większości Żydów. On wie, że taki film spotka się ze sprzeciwem, i mówi, że to dobrze, bo gdyby nie było tego oporu, znaczyłoby to, że niczego ważnego nie mówi.

– Oczywiście liczę się z tym, że ta smutna prawda nie wszystkim przypadnie do gustu. Ale mam nadzieję na merytoryczną dyskusję. W każdym razie zawsze otwarcie szafy z trupami, a one tam leżą zwykle zbyt długo, wiążę się z jazgotem.

Wyjechał pan do USA tuż przed stanem wojennym, nie marząc o karierze hollywoodzkiej. W nowojorskim Muzeum Sztuki Współczesnej MoMA miał pan pokazać swój film i wracać, ale podzielił pan los tych, za których zdecydowała historia. Co musiało się zdarzyć, aby mógł pan robić tam filmy dla telewizji?

– Musiałem wyrzucić z głowy widza przywiezionego z Polski i starać się

Na tych ławeczkach, które upamiętniają Karskiego, jest on stary i smutny, a przecież gdy wybuchła wojna, miał 25 lat.

zrozumieć nowego widza. Polska szkoła filmowa, jak ją zapamiętałem, gdy wyjeżdżałem w 1981 r. – choć bardzo dużo jej zawdzięczam – uczyła robienia przede wszystkim filmów autorskich. Znaczna część polskich filmów, które pokazywałem w Stanach, prowadząc tam zajęcia ze studentami, była niezrozumiała. Łącznie z moimi własnymi. Wyrastaliśmy w innym systemie znaczeń, symboli i niedomówień, które inaczej kształtowały naszą wrażliwość. Znane nam kody kulturowe, o ile jesz-

wiem, a pan rozumie”. Nie chcę bazować tylko na materiałach archiwalnych i gadających głowach, ale wykorzystać inne elementy artystyczne. Jest tu jeszcze sporo zagadek. Wszystko zależy od tego, co się znajdzie w archiwach, a scenariusz będzie powstawał w miarę odkrywania kolejnych źródeł.

Mamy silną ekipę, ale otwarte pozostaje pytanie, czy znajdziemy środki na film. Pamiętam, że kiedy startowałem z Karskim, prezesem TVP był Piotr Farfał z Ligi Polskich Rodzin, i wtedy nawet nie mieliśmy szans na złożenie scenariusza, bo odpadł w przedbiegach. Podobnie może się zdarzyć teraz, po wyborach, bo Bartoszewski też nie wszystkim dobrze się kojarzy.

Czyli po staremu, znów coś będzie zależać od tego, kto będzie rządził telewizją?

– To chora sytuacja. Nigdy nie mogłem zrozumieć, jak można tak upoli-



Sekwencje animowane w filmie o Karskim wykonane zostały z myślą o młodym widzu.

cze w Europie mogły być odczytywane, choć też nie bez trudności, w Stanach nie działały. Filmy autorskie były robione bez myśli o widzu. Powstawało dużo takich filmów, których autor wiedział, o co chodzi, a widz myślał, że jest głupi. **Teraz przymierza się pan do realizacji filmu o Władysławie Bartoszewskim, z którym udało się jeszcze nakręcić rozmowę. Jak pan sobie wyobraża ten film?**

– Zapisałem nawet w punktach, jaki nie powinien być. Przede wszystkim nie chciałbym go kierować wyłącznie do widza polskiego. Wiemy przecież, że Bartoszewski działał na szerokim planie, w Niemczech, Izraelu... i powinien być zrozumiany poza Polską. Chciałbym uniknąć zaściankowości typu: „Ja

tycznić publiczną instytucję, jaką jest telewizja. Nie brakuje tam oczywiście ludzi kompetentnych i wrażliwych, jak choćby Jerzy Kapuściński z Dwójki czy Andrzej Fidyk z Jedyńki, ale jest tam paraliż decyzyjny.

Ale wcześniej wielokrotnie pan współpracował z TVP.

– Zrobiłem kiedyś wspólnie z Jarkiem Sypniewskim 31-odcinkowy serial dokumentalny „Zielona karta” o ludziach, którzy wygrali zieloną kartę na stały pobyt w Ameryce, i teraz proponowałem powrót do tych bohaterów po 15 latach.

Przecież to wymarzony temat dla telewizji.

– Wiele osób to mówi. Mamy tych samych ludzi po wielu latach, ich rodzi-

ny, dzieci, które miały po pięć lat, a dziś mają 20 lat. Kiedyś mówiły po polsku, a teraz nie mówią. Rozwody, choroby... Znam tych ludzi, mam z nimi kontakt. Wydawałoby się, że każdy, kto usłyszy tę historię, powie: świetnie, robimy! Ale jest jedno „ale”. Nie wiadomo, kto będzie w tej telewizji. A złożyć tego nie możemy, bo nikt nam nie podpisze. Wielokrotnie już bywałem w takiej sytuacji. **Co się kryje za tytułem projektu filmowego „Chasing Portraits”, nad którym od jakiegoś czasu pan pracuje?**

– Mam wiele takich projektów, w których jestem reżyserem, producentem albo operatorem. Od roku kontynuuję pracę nad „Chasing Portraits” („Goniąc za portretami”), m.in. byliśmy już dwa razy w Polsce i raz w Izraelu. To historia, którą zainicjowała Elizabeth Rynecki, prawnuczka przedwojennego malarza Moshe Ryneckiego, który mieszkał w Warszawie i zginął w Treblince. Malował akwarelą i namalował tych obrazów bardzo dużo.

Przed śmiercią udało mu się schować w dwóch domach na Pradze

ok. 800 płócien zwiniętych w rulony. Okazuje się, że wszystkie jego obrazy, które gdzieś są, w dużej części pochodzą z tych schowków. Nie wiemy, jak przeciekły na rynek. Na części z nich jest napisane, od kogo zostały kupione i za ile. Odwiedzamy ludzi, u których te obrazy wiszą na ścianach. Nie wszędzie udaje nam się wejść, w Izraelu jest

Powstawało dużo filmów, których autor wiedział, o co chodzi, a widz myślał, że jest głupi.

rodzina, która ma portrety, ale nie chce otworzyć drzwi. Elizabeth bardzo emocjonalnie podchodzi do tego projektu, żyje tymi obrazami, ale co ważne, nie chce ich odzyskiwać. Takie projekty, historie polsko-żydowskie, często się pojawiają i jeśli ktoś coś inicjuje, często dociera do mnie drogą telefoniczną czy mejlową.

Wszystkie ścieżki prowadzą do Grünberga.

– Jestem znany w środowisku jako osoba, która łączy dwa kontynenty i robi filmy na tematy dotyczące obydwu. Dzwonią i mówią: dowiedziałem się, że możesz mi pomóc. Ostatnio zgłosił się do mnie szef towarzystwa pamięci Artura Szyka, znakomitego grafika, ilustratora, abym pomógł mu zrobić film o tym artyście. Najgorsze, że na żadne z tych projektów nie ma funduszy. **Za to są dobre pomysły i pasja w ich realizacji pozwala czasami pokonywać przeszkody. Jaki bliski sercu temat chciałby pan jeszcze opowiedzieć w dokumencie?**

– Fascynują mnie przedwojenne muzyczne szlagiery, tanga, walce. Chciałbym zrobić film „To ostatnia sobota”, bo w wersji hebrajskiej piosenka „To ostatnia niedziela”, śpiewana przed wojną przez Adama Astona, nazywała się „Ten ostatni szabes”. 80% polskich szlagierów stworzyli polscy Żydzi. Wśród nich byli m.in. Marian Hemar, Jerzy Juran-dot, Julian Tuwim – autorzy tekstów i Henryk Wars, Artur Gold, Jerzy Petersburski – kompozytorzy. Niezwykłe jest to, że najbardziej patriotyczne polskie piosenki, jak „Czerwone maki na Monte



Agencja Muzyczna Polskiego Radia poleca drugą część albumu **STANISŁAWY CELINSKIEJ**



Atramentowa...

SUPPLEMENT

9 nowych klimatycznych utworów

W tym przepiękne covery:
Pod papugami
i Manha De Carnaval

Niepowtarzalny wokal
Doskonałe teksty

Już w sprzedaży!

Patroni medialni







Cassino”, były komponowane, a w części także śpiewane przez polskich Żydów. Chciałbym w tym projekcie pójść trochę za sercem i stworzyć film, który byłby po drugiej stronie Holokaustu, a jednocześnie trochę o to zahaczał. Niezwykle pasjonujące w przypadku wymienionych twórców jest to, jak bardzo chcieli być Polakami. Najlepszym przykładem jest tu sam Tuwim. W Muzeum Historii Żydów Polskich wyeksponowana jest jego myśl: „Dla antysemitów jestem Żydem, a moja poezja jest żydowską. Dla Żydów nacjonalistów jestem renegatem, zdrajcą. Trudno!”. To element także mojej historii. Kiedy chciałem być Polakiem, nie miało to żadnego znaczenia, bo i tak widziano we mnie Żyda. Interesuje mnie, jak ci wszyscy przedwojenni twórcy stworzyli te szlagiery, które bardziej polskimi już nie mogły być.

Jak pan rozumie swoją rolę w filmie dokumentalnym? Na ile bliskie jest panu stwierdzenie, że kino ma do spełnienia nie tylko misję artystyczną, że rodzi się też z głębokiej potrzeby zwrócenia uwagi na jakiś problem i może zmieniać świat?

– Po trosze widzę siebie jako wystawcę, który stara się edukować, zmieniać otoczenie. Mam w dorobku filmy, które dosłownie zmieniły świat. Myślę o „Borderline: The People vs. Eunice Baker” (2004), filmie o niepełnosprawnej dziewczynie skazanej na 15 lat więzienia, bo przyznała się do morderstwa, którego nie popełniła. Jako opiekunka miała zajmować się małym dzieckiem, którego rodzice wyjechali. Było lato, mieszkanie przegrzane, klimatyzacja nie działała, a ona nie była w stanie zdać sobie sprawy z zagrożenia. Siedziała z dzieckiem i ono zmarło z przegrzania. Obwinili ją rodzice dziecka, właściciel domu z niesprawną klimatyzacją, odsuwając od siebie problem. W procesie została skazana za morderstwo.

Takie projekty stanowią rodzaj kampanii społecznej.

– Liczne rozmowy, artykuły w prasie i wzmianki w telewizji na temat filmu, który robiłem przez pięć lat, doprowadziły do tego, że nagle ci sami sędziowie, którzy ją skazali, przyjechali na proces odwoławczy i uświadomili sobie nieporozumienie. To wydarzenie nie miało precedensu, bo do procesów odwoławczych dochodzi rzadko, a prawie nigdy sędziowie nie zmieniają w nich decyzji. Eunice, niewinna 26-latką, wyszła na wolność po odsiedzeniu czterech z 15 lat, na które została skazana.

Nowy projekt filmowy zainicjowała Elizabeth Rynecki, prawnuczka przedwojennego malarza Moshe Ryneckiego.



To nie koniec.

– Innym przykładem jest „Fenceline: A Company Town Divided” (2002), film o osadzie tuż przy rafinerii Shella w Luizjanie. Mieszkało tam 500 osób,

Najbardziej patriotyczne polskie piosenki były komponowane, a w części także śpiewane przez polskich Żydów.

wszyscy czarni. Kiedyś kupili domki, a niedługo potem wyrosła im za płotem rafineria i zaczęła zatruwać. Wszyscy wiedzieli, że Aleja Raka to miejsce, gdzie nie należy mieszkać, ale oni tkwili w pułapce, bo nikt domów nie mógł sprzedać. Shell mówił, że wszystko jest dobrze. Trzy lata jeździłem tam z kamerą. A gdy film miała pokazać telewizja, miesiąc przed emisją Shell zwrócił się do nich, aby go nie pokazywali, potem zaproponował pieniądze na programy

edukacyjne na ten temat. Dwa tygodnie przed emisją do osady przyjechali przedstawiciele Shella i dali mieszkańcom nowe mieszkania z dala od rafinerii. A oni walczyli o to 20 lat. Gdy odbywała się premiera filmu, osiedle już nie istniało. Wszystko zniszczyły buldożery. Wróciłem tam i zrobiłem dokrętkę.

Dlatego warto robić filmy dokumentalne.

– Daje mi to kopniaka do pracy i poczucie sensu. Szczególnie pociągają mnie projekty mówiące o konfliktach i dylematach moralnych. Lubię wyzwania, a filmowanie to też wielka przyгода i to, co jest najbardziej pasjonujące w pracy dokumentalisty – nieoczekiwane znalezisko. Chciałbym, aby młodzi ludzie, którzy poszukują sensu życia i właściwych wzorców moralnych, zobaczyli film o Karskim – pomocne mogą być sekwencje animowane – i zastanowili się, jak powinniśmy się zachować, gdy komuś dzieje się krzywda, i czy jako jednostka jestem w stanie zmienić świat.

Stawomir Kwiecień